Tancerka Tintilla

(DOKOŃCZENIE.)

Wyszedł, w milczeniu ścigano go oczyma. Jedni uśmiechali się z litości, drudzy z namysłem kiwali głową. Potém znowu wszyscy usiedli i zwrócili się ku scenie, gdyż przewidywano całkiem inne rozwiązanie, jak zapowiadała sztuka, nie długo też czekano na nie: czterech żandarmów weszło na scenę i otoczyło kapitana Juliusza. Tintilla zaledwie miała czas schronić się za kulisy. Szybko wsunęła się do swojéj garderoby, z pospiechem zarzuciła mantylkę na ramiona i korzystając z zamięszania panującego w sali i kurytarzach, uszła niepostrzeżona. Gdzież chciała się udać? Zapewne do kapitana Juliusza? — Nie. — To może do Sarria, swego wiejskiego domku? — Bynajmniéj.

Teraz na was koléj! o wy wielcy moraliści, zgłębiacze serc niewieścich, i przywykli w nich czytać! podajcie mi rękę, użyczcie niechybnéj waszéj nici, wyprowadźcie mnie z tego labiryntu, gdzie każdy zakręt, po długim obiegu, na nowe na prowadza mnie zakręty i bezprzestannie wyjście przedemną usuwa. Co do was, co przez całe życie krwawy pot lejecie aby dosięgnąć niepodobienstwa, co was codziennie rzeczywistość strąca ze

szczytu waszych snów pomysłowych, zdala odemnie filozoficzni poeci! i czegóż wasz rozum i wasza dusza udzielić mi zdołają?

Ach! czyż każda rzecz skażona nie ma także czystéj swojéj strony? Każda niedorzeczność nie masz swojéj logiki?

I gdzież się udała Tintilla? — Alboż ja wiem! — Czyż wy sami wiecie! — Może sama nawet nie wiedziała gdzie idzie. — Wolę wam raczéj powiedzieć, gdzie szedł porucznik Marceli. — Lecz wiem że to sam z pewnością? Spiew młodéj dziewicy, wonność kwiatów, widok gwiazdy, wspomnienie matki, czyż nie dość tego aby zachwiać pistolet w jego ręku! — Niewierzę aby męszczyzna mógł kiedykolwiek odebrać sobie życie, gdy oczy jego były łzami napełnione!.... Posłuchajcie więc:

Gdy wszedł na Rambla, głos niewieści, głos uwielbiony, nagle rozległ się w uchu porucznika. Głos ten czule wzywał go po imieniu, krok zwolnił mimowolnie i Tintillę wkrótce ujrzał przy sobie. Uśmiechnęła się, on się zatrzymał, a ona wte słowa odezwała się do kochanka:

— Uciekasz panie: dla czegoż to? cóżem ci uczyniła? Bądź że rozsądnym i pomówmy ze sobą chwilkę po przyjacielsku: — O czemże myślisz? — Noc jest wspaniała, przyznaję. Dzwonnice, kopuły klasztorów i kościołów, usrebrzone promieniami księżyca tworzą z Barcelony błyszczącą koronę. Piasek nawet drożyny którą idziemy, świeci się jak pył dyamentowy. Takowe rzuty światłości w około nas zalewają, iż oko wątpi czy wzbi-

jają się w niebo czy z niego zstępują. Tutaj Monjui, stopy zagrążywszy w ziemię czoło wystrzeliwa w obłoki, podobny do olbrzyma, którego szyszak błyska w cieniu; dalej, z głową zwieńczoną gwiazdami stoi góra San-Pedro; barki jej ocienione ogrodami możnaby wziąść za drogę wiodącą do raju. Wietrzyk morski wykrada pomarańczom na płaszczyznie całą zawieję wonności; dziwne melodye przebiegają miasto na jego skrzydłach, czasami rzekłbyś że to jękliwy krzyk jaskółki, pomuskującéj skrzydełkiem pianę strumyka, to znowu perliste brzmienia fletu, utyskującego na zielonych pagórkach Pedralbasu! — Wszystko to jest wspaniałe, powtarzam i przyznaję; ze wszystko pogrąża w lubém zachwyceniu i marzeniach bez końca. — Niezapominaj że ja to wszystko podobnie jak ty widzę, czuję, wyrażam. — Lecz czyż ten widok jeszcze zadziwia twoje oczy? Czyż nasze hiszpańskie niebo nie nazwyczaiło cię do tych cudów? Czyż co wieczór nie ta sama harmonia nie ta sama uroczystość? — I powiedź mi: na stronę księżyc, na stronę gwiazdy, na stronę wszystkie piękności natury osłonione śrebrnym całunem nocy, które podziwiasz, a których podziwienie twoje bynajmniej nie obchodzi, czy myślisz że serce, (słuchaj mnie tylko dobrze), serce co cię pojmuje i kocha, (nie uśmiechaj się), że serce kobiety, naprzykład, nie warte także twoich starań, twego zastanowienia, twego szacunku, twojéj miłości?... — Jesteś pysznym, panie kawalerze, boleśnie pysznym, gdyż jesteś nieśmiały.— Wiem oddawna co przedemną ukrywasz. — Niepotrzebna

tajemnica! — Wyczytałam w twéj duszy: i cóż wyczytałam? — Nic odpowiadasz: po co milczeć? I jaż to powinnam iść naprzeciwko ciebie! Jednak poświęcam się na to. — Ach! łza zadrzała w twojém oku, pozwol jéj spłynąć. Ręka twoja innéj szuka ręki, weź moją. — Jestżeś teraz kontent? — Dziękuję ci! — Czego żądasz więcéj? — Czy sądzisz że każda kobiéta uczyniłaby to co ja czynię? Nie myśl tego. — Ale jesteś godzien tego, mam dowód najlepszy. — Nie przerywaj mi, nie. Chcę do ciebie mówić, nie żebyś ty do mnie mówił. — Wiele ci mam powiedzieć. — Może ci przykro iść obok mnie i trzymać mnie za rękę? Istotnie, trochę ci to niezgrabnie przychodzi. — Może wolisz abym się wsparła na twojém ramieniu jak Francuzka? Chętnie. — Ale nie bądź tak smutny, tak ponury. — Zobaczmy: w czemże ci uchybiłam? w niczem. — Tyś bardziej przeciwko mnie wykroczył, lecz ci wybaczam. — Wytłómaczmy się wzajemnie. Jestem pobłażająca, ty bądź szczerym. — Dla czegożeś mnie częściéj nie odwiedzał w Sarria? Bardzoś źle zrobił. Twoi przyjaciele odwiedzali mnie dwa razy na tydzień; a ty, zaledwie raz w miesiąc! co za postępowanie! — Gniewałam się na ciebie: na próżno! — Nic nie odgadłeś, nic nie umiałeś ocenić, na nic się nieodważyłeś. — I czegoż się spodziewałeś? — Byłże to brak taktu? och! nie; byłaż to pycha? to już by było zawiele! Byłaż to obawa?... Powiedz: Czyż ja pierwszą jestem kobiétą co ci się podobała? (jeśli tylko prawda że ci się podobam). Wybacz! J.... (wybacz jeszcze!) Bojaźń, milczenie, (nie płoń się) częstoż ci się

udały? Nigdy! — Cóż w to poradzić! kobiety są już tak stworzone: prawie wszystkie! — Czyż to źle? Jakież na to lekarstwo? żadnego! — Trzeba przecie mówić! to to nazbyt jasno. — Każdy odbiera co mu się przynależy: to rzecz prosta. — Rozgniewa wyznanie? to je powtórzyć drugi raz. — Nie trzeba zaraz wleść w dziurę, jak sowa: najgłupsza taktyka! — Nie można się pomścić na kobiecie wzdychając do księżyca: biedna zemsta! — Ach! serce ma także swój pociąg, (czy rozumiesz)? pociąg o którego istnieniu nie wie z razu, (szukasz mojéj ręki), lecz za którym zawsze idzie. (Oto moja ręka). Jeśli piękny młodzieniec, (bądź uważny!) przyjemny młodzieniec, (jeszcze bardziéj uważny!) wojskowy, kapitan, kocha kobiétę, i powtarza jéj że ją kocha; to pochlebia, bo kobiéta jest kobiétą: wierzy w to, bo jest ładna. — A jeśli ten sam męszczyzna narazi dla niéj całą swoją przyszłość; jeśli zapomni swego stopnia, (uważaj dobrze) swoich obowiązków, rodziny, i odważy się dla pozyskania jéj wystawić publicznie na szyderstwo, w oczach towarzyszy, w oczach całego miasta: to poświęcenie, ta ofiara, wzrusza kobietę, rozbraja ją; — sądzi że kocha.... — Myli się, i zwodzi nawzajem. — Była to próżność, chęć odznaczenia się; lecz niebyła to miłość! — Inny ją zajmuje, jest przy niéj, zawsze przy niéj, tuż przyniéj, a jednak od niéj zdaleka w jéj umyśle, w jéj sercu, — a jednak to kłamstwo tylko! — jakaż rozpacz serce jéj przenika, że to marzenie jest tylko marzeniem! — On jéj niepowiedział że ją kocha! Co krył w sercu, nigdy tego nieobjawił,

nigdy się nie zdradził. — Zawsze pozostał zimny, dumny, niepojęty. — Wolał raczéj milczeć, cierpieć, niżeli odważyć się na wyznanie, na prośbę. —Prawie się wstydził swojéj miłości. — Mniejsza jednak o to! załowano go; odgadywano, litowano się nad jego dumą, nad jego męczarniami. — Gdyż jego to kochano. — Jeden przestrach, jedno cierpienie, jeden krzyk, wykryły kochanéj kobiécie jak bardzo jest kochaną! — Wyobraźnia jéj wzniosła się gdy przemowiła do niego; mowa jéj stała się szczytniejszą, dusza bardziéj czystą.—Lecz ta kobiéta była tylko tancerką, cyganką, gitaną.— I cóż to jest gitana? Mniéj jak nic, gorzéj jak nic! — Zepsuta, zwiędła, przeistoczona zbyt wcześnie, zalotnością, uciechami, zbytkiem, nędzą! — A jednakże, ile tylko to serce, co bije przy twojém, zamyka w sobie dumy, szlachetnéj dumy! miłości, prawdziwéj miłości! jest cóś co się w niém obudza co go do głębi wzrusza, co ci powiada: bierz, wszystko to do ciebie należy; jesteś godny tego! — Tak jest to miłość, miłość święcąca uczucia swoje kobiécie skalanéj spojrzeniami, żądzami dwóch tysięcy widzów, których bawi a którzy jéj za to płacą, biednéj istocie, zhańbionéj śród poklasków, pogardzanéj śród zazdrości którą obudza, wzdychającéj boleśnie gdy pomni czem jest, a czem być mogła.... — Och! gdyby uczucie, co ją wyłącznie dzisiaj zajmuje, mogło być tylko kaprysem! gdyby szalona, wyprzysięgła się kiedyś, pogardziła miłością, co ją dzisiaj czyni tak dumną i szczęśliwą!...— Nie, nie: niechaj niebo oszczędzi jéj tego upokorzenia,

takowéj nędzy! — Raczy zapomni sama o sobie, raczéj umrze! gdyż.... — Tak mówiła Tintilla. Może powiedziała by jeszcze więcéj; lecz pocałunek porucznika, pocałunek równie skromny, jak całus kapitana był namiętnym, nagle jéj słowa na ustach przeciął.

Trzebaż wam teraz opowiedziéć, (pocałunek dla nas, narodu nadzwyczaj ugrzecznionego i ucywilizowanego, żadnych prawie za sobą skutków niepociąga), trzebaż wam powiedzieć co wyniknęło z tego spotkania i z téj mowy?

Tak rozmawiając zeszli z Rambli i udali się na Calle Nueva, gdzie mieszkała tancerka. Domy jeszcze były otwarte, gdyż jedenasta niewybiła, i *serenos* i nieuwiadomił w przechodzie aby drzwi zamykano. Tintilla zwolna porzuciła rękę porucznika, i przeszła próg domu nie wyrzekłszy ani słowa, ani raz za siebie nie spojrzawszy. Sień którą miała przechodzić była dość długa i ciasna; światło księżyca wpadające z podwórza, tworzyło zaledwie słaby i wątpliwy zmrok, tak iż młodzieniec musiał jéj podać rękę i dopomódz wejść na schody. Gdy przyszła przed drzwi swego mieszkania, dwa razy lekko zastukała. Drzwi otworzyły się po cichu, i siedmioletnia murzynka, trzymając w ręku starożytną lampę o trzech knotach, wyszła im poświecić. Tintilla wbiegła na kurytarz jak pierwéj wbiegła do sieni, nieoglądając się, nie mówiąc ani słowa. Teraz porucznik zaczął się nieco wahać. Pozostawały trzecie drzwi: zgadujecie jakie. Tintilla położyła rękę na klamce i ośmieliła się spojrzeć przez ramie. Sam

już nie przypominam sobie jak się to wszystko stało; lecz gdy się zamykały drzwi kurytarza, otworzyły się drzwi pokoju. Porucznik zamknął te ostatnie za sobą.... — A kapitan Juliusz? — Ach! kapitan Juliusz... zaraz powiem. Aresztowany na piętnaście dni, strzeżony przez czterech grenadyerów, z których dwóch stało w jego przedpokoju, a dwóch we drzwiach prowadzących na ulicę, niemógł jak sądzę, inaczéj pocieszać się po swojéj niełasce, tylko rzucając przekleństwa na swoją złą gwiazdę, odwilżając sobie gardło kiedy nie kiedy dużą szklanicą ponczu. — Lecz czemuż nie przekupił swoich strażników? — To łatwo wymówić. — Czemuż nie wyskoczył oknem i nie pobiegł do cyganki? — Okno o dwadzieścia stóp wznosiło się nad ziemię; a potém pięknie by go cyganka przyjęła.

Nazajutrz Tintilla opuściła Barcellonę wraz z porucznikiem Marcelim i udali się do Walencyi, a ztamtąd mieli przebiedz całą południową Hiszpanię. Przed wyjazdem, porucznik podał prośbę o dymissyę Pułkownikowi. Lecz ten jako człowiek rozsądny i pobłażający, zwrócił mu prośbę przyłączając do niéj trzymiesięczny urlop.

Powróciwszy po sześciu miesiącach do Barcelony, porucznik Marcelli siedział z kapitanem Juliuszem w kawiarni, przed niemi na stole stała wielka waza gorącego wina, mocno korzeniami zaprawnego. Dym sygarettów które palili, mieszał się zaromatycznym wyziewem tego napoju. Od godziny już byli pogrążeni w owéj mgle woniejącéj, i głowy im ciężyć zaczynały. Rozmowa

nawet toczyła się już tylko jednosyllabami, gdy kapitan, dziesiąte zapalając sigaro, puścił kłęb dymu, i tak w kilku słowach uczynił wyciąg wszystkiego co poprzednio powiedziano:

— A więc cię osądziła na koszu?

— Tak, niestety! — odpowiedział porucznik, i to jeszcze dla *aguadora;* czy to rzecz słychana? Zresztą godny chłopak, oko żywe, nos dumny, noga kształtna, a do tego ułożenie tak szlachetne, tak dystyngowane, tak wyższe nad ludzi jego stanu, że wszystkie Sewilanki zbiegały się co rano, aby go spotkać gdy będzie szedł czerpać wodę u fontan Alhamedy.

Kapitan znowu zaczął palic sigaro i zadumał się. — I powiedziała ci wprost że ją nudzisz? — Tak, mój kochany! — westchnął porucznik; — a w tydzień pojechała z swoim aquadorem do Jaen, gdzie mają razem grać *Popisowego.*

Foyer

WIELKIÉJ OPERY (*).

W roku 1837 przyjechałem, do tego uwielbianego tak żyjącego Paryża. Dla każdego, a przynajmniéj dla młodziéży, zakochanéj w sztukach pięknych, piér-

(*) W każdym z teatrów francuzkich zbudowana jest sala, do któréj widzowie w między-aktach udają się na przechadzkę, rozmowę, i t. d. Sala ta zowie się *Foyer*; odpowiada ona niejako znajomym przy naszych teatrach buffetom, z tą róznicą, że kiedy u nas stół cukiernika wiekszą część zajmuje, tu ledwo on widzieć się daje, lub częstokroć w innym stoi przyległym pokoju.

wszym odwiedzin przedmiotem, zwykle bywa Akademija królewska muzyki i tańców, powszechniéj znana pod nazwiskiem wielkiéj Opery. W dzień mojego przyjazdu, grano *Hugonotów*. Zwabiony tak wsławioną w świecie sztuką ledwo zmierzchać poczęło, pobiegłem do teatru przy ulicy *Lepelletier*.

Szczęśliwém a rzadko trafiającém się wydarzeniem, w tak obszérném jak Paryż mieście, w tak zaludnioném jak sala opery miejscu, w samychże drzwiach spotkałem dobrze mi dawniej w Niemczech znajomego Paryżanina; autora przyjemnego wodewilu, który kilkakrotnie przedstawiony na teatrze de *Varietés*, wprowadził go w towarzystwo wielu teraźniejszych francuzkich pisarzy.

W jednym z między aktów poszliśmy do Foyer, w rozmaitych téj obszernéj sali stronach, przyjaciel mój wodewillista wskazał mi różne gromadki, złożone z ludzi tychże samych lub zbliżających się odcieni, zdań skłonności zatrudnień... Tu stało kilka grup różnego rodzaju literatów, tam urzędnicy, ówdzie wyżsi wojskowi, daléj dziennikarze, gdzie indziej mnostwo postrojonych dam, a przy nich roje elegantów. W około tych gron przechadzali się pojedyńczo ciekawi cudzoziemcy, a gęściéj pewien rodzaj przekupniów, co cudzy dowcip w lot łapiąc, za swój go nazajutrz w dzienniczkach przedają. W każdym przedmiocie głębokie zdanie lub dowcipne uwagi przy tych gromadkach usłyszeć można; o wszystkim tam rozprawiają o literaturze, sztukach, rzemiosłach, umiejętnościach, kupie-

ctwie i t. d. a wszystko głęboko i uczenie rozbierają, sądzą, krytykują; czasem też i potwarz, z tych gromadek na świat wyleci, a bardzo często tylko młodszy jéj brat zwaśnienie.

Pierwsze koło, przy którém z przyjacielem wodewillistą krążyć zaczęliśmy, było po większéj części złożone z krytyków, z rozbieraczy i sędziów wszystkiego cokolwiek się nowego na świecie pokaże, których tyle poczynający obawiają się autorowie, którym się tak uniżenie kłaniają już postępujący, którym kadzą pochlebiają wszyscy, i którym, co najlepsza, za pochwały płacą.

Mój wodewillista wskazał mi między innemi Juliusza Janin, przez wielu literatów, za najlepszego dziś krytyka miany, którego feuilletonów co poniedziałek w dzienniku *des Debats* ogłaszanych, publiczność paryzka jak najlepszego o nowościach tygodniowych sądu, z niecierpliwością wygląda. Juliusz Janin wydał kilka niezłych romansów, jako to *Barnave*—*l'Ane mort* — *Le Chemin de traverse,* lecz istotnie się wsławił, i największą po Eugeniuszu Scribe fortunę sobie zbudował, przez dowcipne feuilletony, i zręczne krytyki. (*) Autor *Barnava* mieszka w pięknym hotelu przy ulicy *Tournon.* Zbytek dobrym kierowany smakiem przystroił mu salony, w których raz na tydzień daje wieczory, lecz nie zobaczyć na tych wieczorach ludzi już wsławionych, czego po stanowisku P. Janin w świecie literackim, spodziewaćby się należało. Towarzystwo jego składa się

(*) Każda taka krytyka przynosi mu najmniéj 500 franków, od arkusza druku. (P. R.)

pospolicie z młodych nowo-poczynających pisarzy, zamieszkałych w Paryżu, lub świeżo z prowincij przybyłych. Pani Margrabina *de la C....* przyjemna i pełna dowcipu osoba, jest gospodynią domu, i jak królowa samowładnie nad otaczającym ją młodocianym dworem panuje. Rozmowy dowcipne, żywe, uszczypliwe, lecz zawsze w przyzwoitości zamknięte obrębach, towarzyszą zwyczajnéj herbacie; lecz prócz rozmów żadna gra, ani nawet muzyka do salonu P. Janin nie przypuszczona.

Po Juliuszu Janin przyjaciel wodewillista wskazał mi jeszcze kilku innych wsławionych w Paryżu krytyków; jako to:

Pan Capot de la Feuillide, jednego z najtrafniejszych recenzentów, lecz trochę twardym piszącego stylem.

Pan Nisard którego surową lecz loiczną krytykę, z przyjemnością czytamy w przezorze Paryża *(revue de Paris.)* Najpiękniejszą tego autora recenziją jest, krytyczny rozbior dzieł W. Hugo. Sąd ten odznacza się bezstronnością, nieszczędzi nagan, lecz oddaje sprawiedliwie pochwały. Ta jedna recenzija ma wartość dobrego obszernego dzieła. Znajomym jest także Nisard jako trafny kilku łacińskich autorów tłomacz.

Tuż spostrzegliśmy młodego Delrieu, po którym jeśli ośmielemy się z teraźniejszości przyszłość przepowiadać, wiele spodziewać się należy. Nadzieje te opieramy, tak na artykułach młodego Delrieu umieszczonych w dzienniku *Temps*, i w *Revue de Paris*, jako też na jego romansie pod tytułem *Virginité.*

Przy Delrieu, wskazał przyjaciel mój Alberta Cler, jednego z tak nazwanych trzech ludzi stanu pewnego dzienniczka satyrycznego. Nikt lepiéj śmieszniejszego i dowcipniejszego artykułu z lada zdrożności napisać nie potrafi; Cler dał się we znaki wielu sławnym, lub za sławnych mającym się w literaturze, ludziom.

Zimno nam trochę było koło okna przy którym stało krytyków grono; chcąc się zatém ogrzać a przy tem skorzystać zkąd inąd, zbliżyliśmy się ku słupowi piecowemu, przy nim czerniła się zgraja literatów, złożona po większéj części z samych pisarzy romansów, na różne podzielonych kategorie: obyczajowych, historycznych, morskich, frenelogicznych, odradzającego gustu, i tak daléj. W samym środku tych pułków, stał Balzak: Balzak całemu znajomy światu, wyborny opowiadacz, tylu odkryć psychologicznych wynalazca. Na tego to Balzaka ja dziś jeszcze patrzę, całemi go widzę oczyma; przyznać jednak muszę że postać nie ujmująca, maleńki, gruby i jak kraszanka czerwony; lecz spójrzenie bystre i przenikliwe.

Balzak ma dziś około lat 42. Imie jednak tak lubego autora niedawno światu poznać się dało, bo dopiero po ogłoszeniu romansu pod tytułem *La peau de chagrin*. Dwa romanse bez imienne tego autora. *Le dernier Chouan*, — i *La physiologie du mariage*, wielką lecz nieprzywiązaną do nazwskia Balzaka otrzymały sławę. Długo nie wiedziała publiczność, że autor ten nim się własnym podpisał imieniem, wydał wprzód przeszło dwadzieścia tomów romansów, pod rozmaitemi

pseudoimionami jako to *Lorda R'hone*, *Margrabiego de Viellerglé*, *Horacego de S Aubin* szczególniéj pod tém ostatniém wsławił się nazwiskiem.

Liczne a zawsze dobre romanse tego Autora, dowodzą że dla tak dokładnego serca i natury ludzkiéj odmalowania, w głębokich badaniach do naga rozebrawszy całą naturę człowieka, stwarzał sobie z rozmaitych wzorów jakby czerwony harem; z którego wyprowadzając po koléj, rozmaite kobiety, pokazywał je światu, to blade, melancholiczne, zadumane, to wdzięcznie uśmiechające się, to słodko marzące, lub znowu żywe, pełne gwałtownych namiętności, pełne ognistego uczucia i niepohamowanego żądz zapału. Wprzód St Aubin napełnił tekę, lekko gdzie niegdzie odcieniowanemi lecz pełnemi prawdy zarysami, które poźniéj Balzak rozważnie w grupy ułożywszy, czarownemi naprowadził farby, i stworzył galerią różnorodnych obrazów, zaczynającą się od portretu *Fedory* a zakończoną idealnym Pani *de Mortsof* wizerunkiem.

Mimo tak wielkiéj sławy, wszyscy prawie krytycy zgadzają się że talent Balzaka upadać poczyna. Dla ostatecznego w tém względzie zawyrokowania, czekamy recenzij którego z pierwszych krytyków francuzkich, o świeżo z pod prassy wyszłym tego autora romansie pod tytułem *La femme superieure*, a o którym następną przytaczają anekdotę. Na sześć tygodni przed oddaniem tego romansu do druku Balzak widząc swe prace ciągle przerywane, częstemi aż do uprzykrzenia odwiedzinami: wydawców, księgarzy, dziennikarzy, do-

bijających się o nowe u autora płody; chcąc się schronić przed niemi, najął sobie pod nazwiskiem Duranda małą na ustroni izdebkę. Lecz i to nie pomogło: jeśli nie księgarze i tym podobni, to go wierni przyjaciele wytropili, znaleźli, i publiczności izdebkę samozwącego się Duranda odkrykli. Znowu nowe wizyty. Pewnego wieczora więc zniecierpliwiony, wziąwszy pod pachę mały tłomoczek bielizny, idzie do biura dylizansów: w téj właśnie chwili, jeden z takowych powozów wychodził w drogę. Balzak nie zapytawszy nawet w którą dyliżans udaje się stronę, siada, jedzie i noc całą pędzi. Gdy się rano dyliżans zatrzymał, Balzak wysiada a ujrzawszy się w jakiemś miasteczku i sądząc iż już o kilkanaście mil jest od Paryża, wchodzi do pierwszéj lepszéj oberży, każe sobie dać najlepszą izbę, i w niéj przepędziwszy trzydzieści sześć dni, napisał wyżéj wspomniany romans, poczem ujrzawszy znowu idący ku Paryżowi dyliżans wsiadł, i do siebie powrócił, nie wiedząc ani w jakiem mieście, ani nawet w jakiem był departamencie. Co tylko można było pod tym względem od samego dowiedzieć się Balzaka, to że pokój oklejony był błękitnym papierem, że kotary łóżka żółtego były perkalu, i że nigdy godziny wiedzieć nie mógł; bo zapomniawszy własnego zegarka, takowego w izbie niebyło. Poznaje się tylko, że na pamiątkę wyrznął na jednym z okien swoje nazwisko. Otoż ślad! Dalejże w podróż na kilkanaście mil w około Paryża, ktoś może będzie téj oberży wynalazcą, nowym Krzysztofem Kolumbem!.....

Zasępiony, zadumany, niedbale odziany, przy Balzaku stał o kolumnę oparty odludek Alfons Karr. Nie przez chęc odszczególnienia się lub nacechowania się oryginalnością, Karr towarzystwa ludzi unika. Gdyby nie wśród Paryża, lecz w głębi ukrytéj wioski przemieszkiwał, pewno z wrodzonéj do tego skłonności od ludzi by stronił; a jednak pomimo tego dziwactwa, Karr jest najlepszym redaktorem uszczypliwego dziennika *Figaro*. Mając dopiero lat 28, pisarz ten już wydał ośm tomów romansów, i mnostwo wybornych powieści w feuilletonach różnych dzienników umieszczonych. Jest to jeden z pisarzy francuzkich, co nacechował swe płody sobie tylko właściwą i przez siebie stworzoną oryginalnością a chociaż niektórzy krytycy utrzymują, że wkształtach i stylu naśladuje Sterna, naszem zdaniem Karr nie tylko że jest sobie właściwy ale wcale nowy, oryginalnych jest pomysłów, kształtny dowcipny i nie spospolitowany, i maluje uczucia namiętności, silnym i ognistym stylem. W pierwszym romansie pod tytułem *Sous les tilleuls*, opisał Karr jak powiadają, wydarzenia i uczucia własnéj młodości. Przyjaciele którym kilkakrotnie opowiadał wydarzenia, obawiali się by rzecz tak im znajoma mogła dostatecznie ciekawość czytelników zadowolnić. Pomimo téj obawy romans *Sous les tilleuls* świetne u publiczności pozyskał przyjęcie. Oryginalność i naiwność wydarzeń, doskonały rozbior licznych a często wprost sobie przeciwnych uczuć, a co najwięcéj, niewyczerpany i niepowtarzający się dowcip, z jednały Alfonsowi

Karr wielu stronników i wielbicieli. Następny romans tego Autora pod tytułem *Une heure trop tard* już takiéj nie zyskał jak pierwszy wziętości; dla tego może że nie w przychylnéj pokazał się chwili dla pisarza! Z jakiéj kolwiek bądź przyczyny, mniéj u publiczności mówiono o *Une heure trop tard*, jak o *Sous les tilleuls*, którego w wyliczeniu lepszych teraźniejszych romansów, żaden z krytyków nie zapomina.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRÓTKI RYS DZIEJOW
TEATRÓW PROWINCIONANYCH
W POLSZCZE
od roku 1827 do 1839.

(Napisany przez Artystę Dramatycznego, czynnego współpracownika tychże.)

(ARTYKUŁ NADESŁANY).

Nietylko Warszawa cieszy się widowiskami scenicznemi, miasta Gubernialne, miasteczka Obwodowe, miejsca znaczniejszych jarmarków mają także swoje teatry. Truppy aktorów podróżujących, przebiegają we wszystkich kierunkach królestwo, nie mając nigdzie stałego miejsca, wiedzione potrzebą, spieszą tam gdzie promyk zarobkowania choć częstokroć w zwodniczéj nadziei im się okazuje.

Naoczny świadek i czynny współpracownik od lat dwunastu, wszystkich prawie kompanii prowincionalnych, postanowiłem skreślić krótki rys dziejów tychże,

w tém przekonaniu że wykrycie i opisanie niektórych wydarzeń, przedstawiając wprawdziwém świetle położenie artystów dramatycznych prowincionalnych, przekona czytających, jak częstokroć sami sobie zostawieni, najczęściéj zdzierani przez swych chciwych przewodników, noszących szumną nazwę *Dyrektorów Teatrów*, mimowolnie zmuszeni bywają, jak to mówią (łatać biedę), z potrzeby chwytają się wybiegów i szarmyclów afiszowych, aby przynęcać publiczność do teatru na swe benefisa, nadzieją nadzwyczajnéj sztuki i szczególniejszéj wystawy, a łapnąwszy, jeśli szczęście posłuży kilkaset złotych czystego dochodu do kieszeni, czas jakiś opędzać cisnące potrzeby, doczekać się mogli nadejścia pory, odegrania znów gdzie indziéj tegoż benefisu, który wszystko stanowi dla aktora prowincionalnego.—Dowiedzą się zarazem jak często rozwijająca się piękna zdolność sceniczna, gasnie i więdnieje, nie mając opiekuńczéj dłoni, coby nią stosownie kierując, wydobyła z niéj talent i naprawdziwą drogę wykształcenia naprowadziła.

ROK 1827.

W roku tym w Sierpniu, przybyło do miasta Radomia towarzystwo podróżujących artystów, złożone z kilku osób, zaledwie obeznanych ze sceną. Publiczność tamtejsza przyzwyczajona do porządnych widowisk, dawanych niegdyś w czasie przejazdów przez kompanije pod Dyrekcyą pp. *Bauer* i *Kochanowskiego* i przez towarzystwo krakowskie pana *Skibińskiego*, a późniéj *Szymkajły*, nie mogła pobłażającym okiem patrzeć, na ludzi niema

jących najmniejszego usposobienia scenicznego; przeto władza miejscowa zapowiedziała Antreprenerowi tegoż towarzystwa, p. *Brelewskiemu*, że jeśli chce dłużéj bawić publiczność Radomską, to niech się postara o lepszy dobór osób, lub w przeciwnym razie niech miasto opuści. Towarzystwo to składali pani, *Brelewska*, panny *Sikorska* i *Grecz*, pp. *Brelewski*, *Zalewski*, *Lazarowicz*, *Osiecki*, *Gajewski*, *Brauncheldèr* i *Krzesiński*, trzéj ostatni wspólnie z panną *Sikorską* przybyli z Warszawy. Brak zupełny teatralnéj garderoby, dekoracyi, a mianowicie porządku, odstręczał publiczność od teatru. — Z powodu niedoborów w kassie, Antreprener był zmuszony zaciągać długi, a Aktorowie niepłatni, często głodni, nie mając sił potrzebnych do uczenia się rol, co innego zupełnie mówili na scenie, aniżeli to co sztuka w sobie zawierała, i tak dalece w rozbujałéj swéj improwizacyi zapędzali się, ze częstokroć niebyli w stanie widowiska dokończyć. Szczególniéj w tém celowali pp. *Brelewski* i *Zalewski*. — W Listopadzie t. r. przybyli z Warszawy na zapewnienie Antreprenera pp. *Karasiński*, *Majewski* i *Gizewski* (uczniowie owczasowéj szkoły dramatycznéj), ci pomimo swoich zdolności, niemogli już zwabić raz zniechęconych widzów, dawszy przeto trzy przedstawienia i nieodniosłszy z nich prawie żadnéj korzyści, powrócili do Warszawy.—W kilka dni po ich odjezdzie p. *Zebrowski* artysta dramatyczny teatru Krakowskiego, przedstawił trzy role gościnne, artysta ten znany już w Radomiu, sprowadził nieco liczniejszą publiczność.

W kilka tygodni, słabość pana *Brelewskiego* była powodem, iż towarzystwo jego pozbawione wszelkich sposobów dalszego utrzymania się, postanowiło rozwiązać się, jakoż większa część onego udała się do Lublina, dwie zaś tylko osóby jakoto p. *Zalewski* i panna *Grecz* pozostali przy p. *Brzezińskim.* — Jadący do Lublina mieli zaszczyt być wezwani, do dania widowiska w Puławach, jakoż przedstawili komedyją oryginalnie napisaną p. t. *Czterech Gachów a każdy lepszy*, i komedyą *Towarzysze nieszczęścia;* byli to prawdziwi towarzysze nieszczęścia. Opatrzeni pieniędzmi których od tak dawna niewidzieli, puścili się nazajutrz wdalszą drogę.

Osoby składające to towarzystwo przybywszy do Lublina, na pierwsze przedstawienie, dały toż samo widowisko co w Puławach, lecz talenta ich wcale nie zajęły publiczności tamtejszéj, wyperswadowano im a raczéj nakazano, aby dla własnéj korzyści, wstrzymały się zdawaniem widowisk aż do przybycia kompanii p. *Brzezińskiego*, który bawiąc od dawna w Kielcach miał zjechać do Lublina; dawszy przeto jedno tylko widowisko, oczekiwały bezczynne przybycia ich nowego Dyrektora. Na tym się zakończył ten rok.

Znaczniejsze sztuki jakie grywano w kompanii pana *Brelewskiego* były: Melodramma, *Las Okropny* czyli *Rozbojnicy Kalabryjscy*, Drammy *Rynaldo Rynaldini*, *Pustelnik na Wyspie Formentera*, *Uczciwy Winowajca* i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi)